

Skazany na dożywocie zabójca po dziewięciu
latach wychodzi na wolność.



Daily News
Murder
LONDON

Rozpoczyna polowanie
na sędziów i świadków.

JOHN
GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

OSTATNI
SPRAWIEDLIWY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE LAST JUROR

Copyright © Belfry Holdings Inc. 2004
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Krzysztof Oblucki 2013

Redakcja: Beata Słama

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Zdjęcie na okładce: © David Keinne/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek/Wydawnictwo Albatros

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Po dziesięcioleciach zdumiewających zaniedbań i wytrwałego zarządzania w nieumiejętny sposób gazeta „The Ford County Times” zbankrutowała w 1970 roku. Jej właścicielką i wydawczynią była pani Emma Caudle, teraz dziewięćdziesięcioletnia staruszka, przywiązana pasami do łóżka w domu opieki w Tupelo. Redaktor naczelny, jej syn, Wilson Caudle, miał siedemdziesiąt kilka lat i metalową płytkę w głowie z czasów pierwszej wojny światowej. Idealne koło ciemnej przeszczepionej skóry zakrywało płytkę na gorze jego wysokiego, spadzistego czoła. Z jej powodu przez całe dorosłe życie musiał znosić przezwisko Spot*. Spot, zrób to. Spot, zrób tamto. Tutaj, Spot. Tam, Spot.

Kiedy był młodszy, chodził na zebrania władz miasta, mecze futbolowe, wybory, rozprawy sądowe, spotkania kółek kościelnych, uczestniczył we wszelkich przejawach aktywności w okręgu**. Był dobrym reporterem, dokładnym i obdarzonym intuicją. Rana w głowie najwyraźniej w żaden sposób nie wpłynęła na jego umiejętność pisania.

* *Spot* (ang.) – plama, cętka.

** Okręg, po angielsku *county*, czyli hrabstwo (określenie używane tu wymiennie).

Jednak w którymś momencie, po drugiej wojnie światowej, płytka ewidentnie się przemieściła i pan Caudle przestał pisać cokolwiek poza nekrologami. Uwielbiał nekrologi. Spędzał nad nimi całe godziny. Tworzył długie akapity elokwentnej prozy, szczegółowo przedstawiając życiorysy nawet najskromniejszych mieszkańców okręgu Ford. A śmierć bogatego lub prominentnego obywatela stawała się wiadomością na pierwszą stronę, przy czym pan Caudle sam tego pilnował. Nigdy nie opuścił żadnego czuwania przy zmarłej osobie lub pogrzebu, nigdy nie napisał o nikim złego słowa. Wszyscy na koniec okrywali się chwałą. Okręg Ford był cudownym miejscem do umierania. Choć Spot był szurnięty, cieszył się ogromną popularnością.

Jedyny kryzys w jego dziennikarskiej karierze zdarzył się w 1967 roku, mniej więcej w czasie, gdy do okręgu Ford dotarł ruch obrony praw człowieka. Gazeta nigdy nie posunęła się choćby do aluzji o tolerancji rasowej. Na jej stronach nigdy nie pojawiła się czarna twarz, z wyjątkiem znanych lub domniemanych kryminalistów. Żadnych zawiadomień o ślubach czarnych. Żadnych czarnych szkolnych prymusów lub zwycięskich drużyn baseballowych. Niemniej w 1967 roku pan Caulde dokonał przerażającego odkrycia. Obudził się pewnego ranka i uświadomił sobie, że w okręgu Ford umierają czarni ludzie, a ich zgony nie są odnotowywane zgodnie z zasadami sztuki. Istniała dziura, coś zupełnie nowego dla Caudle'a, niezwykle obiecujący świat nowych nekrologów. Postanowił więc pozełgować po niebezpiecznych i nieznanach wodach. W środę ósmego marca 1967 roku „Times” stał się pierwszą w Missisipi ukazującą się raz w tygodniu gazetą należącą do białego właściciela, w której wydrukowano nekrolog czarnego. Większość nie zwróciła na to uwagi.

W następnym tygodniu zamieścił trzy nekrologi czarnych mieszkańców, a wtedy ludzie zaczęli mówić. W czwartym

tygodniu regularny bojkot wydawał się nieunikniony; odwoływano prenumeraty, ogłoszeniodawcy pozamykali portfele. Pan Caudle wiedział, co się działo, ale nowy status integracjonisty robił na nim zbyt duże wrażenie, żeby niepokoił się tak trywialnymi sprawami jak sprzedaż i zyski. Po sześciu tygodniach od ukazania się historycznego nekrologu ogłosił na pierwszej stronie pogrubioną czcionką zasady nowej polityki redakcji. Wyjaśnił czytelnikom, że będzie, do cholery, publikował wszystko, na co przyjdzie mu ochota, a jeśli białej społeczności się to nie podoba, to przestanie po prostu drukować jej nekrologi.

Ponieważ w Missisipi odpowiednie umieranie jest częścią życia – zarówno dla czarnych, jak i białych – w tej sytuacji sama myśl o złożeniu na marach bez glorii pochlebnych pożegnań pióra Spota dla większości białych była nie do zniesienia. Poza tym wiedzieli, że jest wystarczająco szurnięty, żeby spełnić swoją groźbę.

Następny numer wypełniały nekrologi wszelkiego rodzaju, czarnych i białych, wszystkie ułożone skrupulatnie w porządku alfabetycznym, nieposegregowane rasowo. Sprzedał się cały nakład, potem zaś nastąpił krótki okres prosperity.

Ogłoszono, że bankructwo jest przymusowe, jakby bankructwa zwykle dotyczyły entuzjastycznie nastawionych ochotników. Wierzycielom przewodził drukarz z Memphis, któremu należało się sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Kilku kredytodawców nie spłacano od pół roku. Sędziwy Security Bank zażądał zwrotu pożyczki.

Byłem nowy, ale słyszałem plotki. Siedziałem na biurku w redakcji „Timesa” w pokoju od ulicy i czytałem jakiś magazyn, kiedy do środka wkroczył karzeł w butach ze szpiczastymi czubkami i zapytał o Wilsona Caudle’a.

– Jest w domu pogrzebowym – powiedziałem.

Karzeł wyglądał na bardzo pewnego siebie. Na biodrze,

pod wygniecioną granatową marynarką, spostrzegłem u niego broń noszoną w taki sposób, by ludzie mogli ją widzieć. Miał prawdopodobnie pozwolenie, ale w okręgu Ford nikt czegoś takiego nie potrzebował, w każdym razie tak było w latach siedemdziesiątych. W rzeczywistości patrzono na pozwolenia ze zdziwieniem.

– Muszę mu dostarczyć te papiery – powiedział, wymachując kopertą.

Nie byłem w nastroju do pomagania innym, ale trudno być nieuprzejmym wobec karła. Nawet takiego z bronią.

– Jest w domu pogrzebowym – powtórzyłem.

– No to zostawię je u pana – oznajmił.

Chociaż byłem tu od niecałych dwóch miesięcy i choć studiowałem na Północy, nauczyłem się tego i owego. Wiedziałem, że dobre wieści nie są ludziom doręczane oficjalnie. Wysyła się je pocztą, przesyła w inny sposób albo przekazuje osobiście, ale nigdy nie dostarcza się ich przez urzędowego posłańca. Te papiery oznaczały kłopoty, a ja nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

– Nie wezmę tego – powiedziałem, spuszcżając wzrok.

Prawa natury wymagają, żeby karły były potulnymi, mało wojowniczymi ludźmi, i ten kurdupel nie stanowił wyjątku. Broń nosił dla zmyłki. Rozejrzał się po pokoju z pogardliwym uśmieszkiem, ale wiedział, że sytuacja jest beznadziejna. Trochę zbyt teatralnym gestem wepchnął kopertę do kieszeni i zapytał buńczucznie:

– Gdzie jest ten dom pogrzebowy?

Pokazałem mu, jak tam trafić, i się oddalił. Godzinę później na chwiejnych nogach wkroczył Spot, wymachując papierami i wykrzykując histerycznie:

– To koniec! To koniec! – Nie przestawał zawodzić, podczas gdy ja trzymałem w ręce wniosek o upadłość. Margaret Wright, sekretarka, i Hardy, dziennikarz, przyszedli z zaplecza i próbowali go pocieszać. On zaś siedział na krześle

w twarzą ukrytą w dłoniach, z łokciami opartymi na udach i płakał żałością. Przeczytałem wniosek na głos, żeby pozostali wiedzieli, o co chodzi.

Napisano w nim, że pan Caudle musi stawić się za tydzień w sądzie w Oxfordzie na spotkaniu z wierzycielami i sędzią, że dopiero wtedy zostanie podjęta decyzja, czy tygodnik nadal będzie się ukazywał, podczas gdy syndyk zajmie się uporządkowaniem wszystkiego. Było dla mnie jasne, że Margaret i Hardy bardziej martwili się o swoje posady niż o załamane go pana Caudle'a, ale dzielnie stali przy nim i poklepywali go po ramionach.

Kiedy trochę się uspokoił, wstał, zagryzł wargę i oświadczył:

– Muszę powiedzieć matce.

Popatrzyliśmy po sobie. Pani Emma Caudle wycofała się przed wieloma laty, a praca jej słabego serca wystarczała zaledwie do odwlekania pogrzebu. Nie miała pojęcia, jakiego koloru galaretką ją karmiono, i w ogóle jej to nie obchodziło, a z pewnością nie zwracała sobie głowy okręgiem Ford i jego gazetą. Była ślepa, głucha i ważyła mniej niż czterdzieści kilogramów, ale Spot chciał omawiać z nią przymusowe bankructwo. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że jego również już z nami nie ma.

Znów się rozpląkał i wyszedł. Za sześć miesięcy miałem napisać jego nekrolog.

Ponieważ studiowałem i ponieważ to ja trzymałem w ręce dokumenty, Hardy i Margaret patrzyli na mnie z nadzieją, oczekując rady. Byłem dziennikarzem, nie prawnikiem, ale powiedziałem, że zaniosę te papiery do adwokata rodziny Caudle'ów. Potem zastosujemy się do jego wskazówek. Uśmiechnęli się słabo i wrócili do pracy.

W sklepie Quincy's One Stop w Lowtown, czarnej dzielnicy Clanton, kupiłem w południe sześciopak piwa i wyruszyłem na długą przejażdżkę moim spitfire'em. Luty

dobiegał końca, było jednak bardzo ciepło jak na tę porę roku, dlatego opuściłem dach i ruszyłem w kierunku jeziora, zastanawiając się nie po raz pierwszy, co ja właściwie robię w okręgu Ford w stanie Missisipi.



Dorastałem w Memphis i przez pięć lat studiowałem dziennikarstwo w Syracuse, zanim moja babka zaczęła mieć dość płacenia za moją przedłużającą się edukację. Stopnie miałem takie sobie i do dyplomu brakowało mi roku. Może półtora. Babcia BeeBee miała mnóstwo pieniędzy, ale nie znosiła ich wydawać i po pięciu latach uznała, że ułatwianie mi startu zostało już sfinansowane w wystarczającym stopniu. Kiedy odcięła mi fundusze, byłem bardzo rozczarowany, ale nie narzekałem, przynajmniej nie w jej obecności. Byłem jej jedynym wnukiem, a spadek po niej będzie prawdziwą rozkoszą.

Studiowanie dziennikarstwa przyprawiało mnie o ból głowy. W początkowym okresie w Syracuse marzyłem, by zostać dziennikarzem śledczym „New York Timesa” albo „Washington Post”. Chciałem zbawiać świat, wyciągając na światło dzienne korupcję i zanieczyszczenie środowiska naturalnego, marnotrawienie państwowych środków i niesprawiedliwość, przez które cierpieli słabi i gnębieni ludzie. Pulitzery już na mnie czekały. Mniej więcej po roku tak wygórowanych aspiracji obejrzałem film o zagranicznym korespondencie, który pędził po świecie w poszukiwaniu wojen, uwodził piękne kobiety i w jakiś sposób znajdował czas na pisanie historii honorowanych nagrodami. Mówił ośmioma językami, nosił brodę, wojskowe buty i ubrania khaki, które nigdy się nie gniotły. Dlatego postanowiłem, że będę właśnie takim dziennikarzem. Zapuściłem brodę, kupiłem buty i ubranie khaki, próbowałem uczyć się niemieckiego i podrywać co ładniejsze dziewczyny. Na

pierwszym roku, kiedy moje oceny zaczęły pikować w dół, urzekł mnie pomysł pracy w gazecie wydawanej w małym miasteczku. Nie potrafię wyjaśnić tej fascynacji, poza tym że wtedy poznałem Nicka Dienera i się z nim zaprzyjaźniłem. Pochodził z rolniczej Indiany i od dziesięcioleci jego rodzina miała nieźle sobie radzącą lokalną gazetę. Jeździł bajeranckim małym alfa romeo i zawsze miał mnóstwo kasy. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Nick był bystrym studentem, który dałby sobie radę na medycynie, prawie albo na politechnice. Tymczasem jego jedynym celem był powrót do Indiany i prowadzenie rodzinnego interesu. Stanowiło to dla mnie zagwozdkę do czasu, gdy któregoś wieczoru upiliśmy się i powiedział mi, jak jego ojciec zamykał każdy rok finansowy ich skromnego tygodnika, wydawanego w nakładzie sześciu tysięcy egzemplarzy. To żyła złota, mówił. Tylko lokalne wiadomości, zawiadomienia o ślubach i spotkaniach stowarzyszeń kościelnych, listy szkolnych prymusów, sprawozdania sportowe, zdjęcia drużyn koszykówki, kilka przepisów kulinarnych, kilka nekrologów i strony z ogłoszeniami. Może trochę polityki, ale z dala od wszelkich kontrowersji. I gotówka brzęczy w kieszeni. Jego ojciec stał się milionerem. Było to dziennikarstwo na luzie, bez napięć, a pieniądze rosły na drzewach, a przynajmniej tak twierdził Nick.

To do mnie przemawiało. Po czwartym roku, który powinien być ostatni, ale nawet nie przybliżył mnie do dyplomu, spędziłem wakacje w redakcji małego tygodnika w Ozark Mountains w Arkansas. Płacili marne centy, ale na BeeBee duże wrażenie wywarło to, że ktoś mnie zatrudnił. Co tydzień wysyłałem jej gazetę, w której co najmniej połowa tekstów była mojego autorstwa. Właścicielem, redaktorem naczelnym i wydawcą był przeuroczy starszy dżentelmen zachwycony tym, że pracuje u niego dziennikarz, który chce pisać. Miał całkiem spory majątek.

Po pięciu latach w Syracuse moje oceny nie dawały się już poprawić, a źródło finansowania wyschło. Wróciłem do Memphis, odwiedziłem BeeBee, podziękowałem jej za pomoc i zapewniłem, że ją kocham. Poleciła mi, żebym znalazł sobie jakąś pracę.

W tym czasie siostra Wilsona Caudle'a, mieszkająca w Memphis na skutek splotu różnych okoliczności, na jakiejś herbatce poznała BeeBee. Po kilku telefonach spakowałem się i wyruszyłem do Clanton w stanie Missisipi, gdzie z niecierpliwością czekał już na mnie Spot. Po godzinnym wypytywaniu zostawił mnie samopas w okręgu Ford.

W następnym numerze zamieścił wzruszającą krótką wzmiankę z moim zdjęciem, w której obwieszczał rozpoczęcie przeze mnie „stażu” w „Timesie”. Zająła całą pierwszą stronę. W tamtych czasach nieczęsto trafiały się prawdziwe rewelacje.

W nocie znalazły się dwa horrendalne błędy, które miały się za mną wlec przez lata. Pierwszy i mniej poważny polegał na stwierdzeniu, że uniwersytet w Syracuse dołączył do Ivy League*, przynajmniej w opinii Spota. Poinformował malejące grono czytelników, że w Syracuse odebrałem wykształcenie najlepsze z możliwych. Minął miesiąc, zanim ktoś mi o tym powiedział. Zaczynałem podejrzewać, że nikt nie czyta tej gazety albo, co gorsza, ci, którzy ją czytają, są idiotami.

Druga pomyłka zmieniła moje życie. Urodziłem się jako Joyner William Traynor. Do dwunastego roku życia zamęczałem rodziców pytaniami o to, z jakiego powodu dwoje najwyraźniej inteligentnych ludzi obdarowało swoje nowo narodzone dziecko imieniem Joyner. W końcu dowiedziałem się, że jedno z moich rodziców – a każde się wypierało –

* Ivy League (ang.) – dosłownie „liga bluszczu”, zrzesza osiem najbardziej elitarnych uczelni w północno-wschodnich stanach USA.

nadało mi to imię, ponieważ miało być ono gałązką oliwną wyciągniętą w stronę jakiegoś obrażonego krewnego, który przypuszczalnie miał pieniądze. Nigdy tego człowieka nie poznałam. Umarł splukany, a ja zostałam Joynerem do końca życia. Na uniwersytet wstąpiłem jako J. William, co, jak na osiemnastolatka, było raczej na wyrost. Ale w erze Wietnamu, zamieszek, buntu i demonstracji doszedłem do wniosku, że J. William brzmi zbyt instytucjonalnie, za bardzo kojarzy się z establishmentem. Stałem się więc Willem.

Spot nazywał mnie Williamem, Willem, Billem, nawet Billym, a ponieważ reagowałem na wszystkie te imiona, nigdy nie wiedziałem, na jaki pomysł może jeszcze wpaść. W gazecie pod moim uśmiechniętym zdjęciem znalazło się moje nowe imię: Willie. Byłem przerażony. Nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, że ktoś nazwie mnie Willie. Chodziłem do szkoły podstawowej w Memphis, potem do college'u w Nowym Jorku i nigdy nie poznałem nikogo o imieniu Willie. Nie byłem poczciwym staruszkim. Jeździłem triumphem spitfire'em i nosiłem długie włosy.

Co miałem powiedzieć kumplom z bractwa w Syracuse?
Co miałem powiedzieć BeeBee?

Po ukrywaniu się przez dwa dni w domu zebrałem się na odwagę, żeby stanąć przed Spotem i domagać się, by coś zrobił. Nie byłem pewny, co miałyby to być, ale w końcu popełnił błąd, więc mógłby go, do cholery, naprawić. Wkroczyłem do redakcji „Timesa” i wpadłem na Daveya Bigmoutha Bassa, redaktora sportowego naszej gazety.

– Hej, to superimię – powiedział, gdy wszedłem za nim do jego pokoju, szukając rady.

– Nie nazywam się Willie – odparłem.

– Teraz już tak.

– Na imię mam Will.

– Będą cię tu uwielbiali. Mądrała z Północy, z długimi włosami i małym importowanym samochodem. Cholera,

ludzie uznają, że jesteś całkiem w porządku, skoro masz na imię Willie. Pomyśl o Joe Williem.

– A kto to jest Joe Willie?

– Joe Willie Namath.

– Och, ten.

– No, jest Jankesem, jak ty, z Pensylwanii albo podobnego miejsca, ale kiedy trafił do Alabamy, zmienił imiona z Joseph William na Joe Willie. Dziewczyny uganiały się za nim po całym stanie.

Poczułem się lepiej. W 1970 roku Joe Namath był prawdopodobnie najslawniejszym sportowcem w kraju. Pojechałem na przejażdżkę i nie przestawałem powtarzać: „Willie”. Po paru tygodniach to imię zaczynało do mnie przywierać. Wszyscy nazywali mnie Willie i sprawiali wrażenie bardziej odprężonych, ponieważ miałem takie przyziemne imię.

Powiedziałem BeeBee, że to tymczasowy pseudonim.



„Times” był bardzo cienkim tygodnikiem i natychmiast się zorientowałem, że ma kłopoty. Pełny nekrologów, ze znikomą dawką wiadomości i reklam. Pracownicy byli niezadowoleni, ale cisi i lojalni. W 1970 roku niełatwo było znaleźć pracę w okręgu Ford. Po tygodniu stało się oczywiste, nawet dla mnie, nowicjusza, że gazeta przynosi straty. Nekrologi szły za darmo, reklamy nie. Spot większość czasu spędzał w swoim zagraconym gabinecie, ucinął sobie drzemki i wydzwaniał do zakładów pogrzebowych. Zdarzało się, że to one dzwoniły do niego. Bywało, że już kilka godzin po wydaniu ostatniego tchnienia przez wuja Wilbera odwiedzała nas jego rodzina i przekazywała długie, kwieciste, odręcznie napisane wspomnienia, które Spot przejmował i zanosił ostrożnie na biurko. Za zamkniętymi drzwiami pisał, redagował, sprawdzał i przepisywał od nowa, aż uzyskiwał

wersję idealną.

Powiedział mi, że mam obsługiwać cały okręg. W gazecie pracował jeszcze jeden dziennikarz, Baggy Suggs, ciągle zalany starym cap, który całymi godzinami kręcił się w sądzie po drugiej stronie ulicy, węsząc za plotkami i popijając bourbona z niewielką grupką splukanych adwokatów, zbyt starych i zbyt pijanych, żeby prowadzić praktykę. Jak się szybko przekonałem, Baggy zrobił się zbyt leniwy, by sięgać do źródeł i szukać czegoś ciekawego. Pisał nudne artykuły na pierwszą stronę, opisujące pobicie żony albo spór o miedzę.

Margaret, miła sekretarka, katoliczka, rządziła tym miejscem, ale była na tyle sprytna, że pozwalała Spotowi myśleć, że to on jest szefem. Przekroczyła pięćdziesiątkę i pracowała tam od dwudziestu lat. Była opoką, kotwicą i wszystko w „Timesie” kręciło się wokół niej. Margaret mówiła łagodnym głosem, była płochliwa, ja zaś onieśmiałem ją od pierwszego dnia, bo przyjechałem z Memphis i przez pięć lat studiowałem na Północy. Bardzo uważałem, żeby nie przyłgnęła do mnie podrobiona etykieta Ivy League, a jednocześnie chciałem, by wieśniacy z Missisipi wiedzieli o moim świetnym wykształceniu.

Ona i ja staliśmy się rozplotkowanymi kumplami, a po tygodniu potwierdziła to, co i tak podejrzewałem – że pan Caudle jest naprawdę obłąkany i że gazeta znajduje się w tragicznej sytuacji finansowej. Ale, jak powiedziała, Caudle’owie mają rodzinny majątek!

Miały minąć lata, zanim pojąłem, o co chodziło.

W Missisipi nie należało mylić rodzinnego majątku z zamożnością. Nie miał nic wspólnego z gotówką lub innymi dobrami. Rodzinny majątek równał się statusowi zyskiwanemu przez kogoś, kto był biały, miał jakiegokolwiek wykształcenie wykraczające poza maturę, urodził się w dużym domu z werandą od frontu – najlepiej takim, który otaczały pola bawełny lub soi, choć nie było to obligatoryjne

– i był wychowywany trochę przez ukochaną czarną służącą o imieniu Bessie albo Pearl, a trochę przez czułych dziadków, którzy kiedyś byli właścicielami przodków Bessie albo Pearl. Od urodzenia wpajali oni potomkowi surowe zasady obowiązujące w klasie ludzi uprzywilejowanych. Posiadane fundusze powiernicze i ziemia jakoś w tym pomagały, ale w Missisipi pełno było niewypłacalnych arystokratów, którzy odziedziczyli status osoby z rodzinnym majątkiem. Tego nie można było kupić. Miało się to z racji urodzenia.

Kiedy rozmawiałem z prawnikiem rodziny Caudle’ów, poinformował mnie dość zwięźle o prawdziwej wartości ich rodzinnego majątku.

– Są goli jak święty turecki – oznajmił, podczas gdy ja siedziałem na wytartym skórzanym fotelu i patrzyłem na niego ponad blatem wiekowego mahoniowego biurka.

Nazywał się Walter Sullivan, pracował w prestiżowej – przynajmniej w okręgu Ford – kancelarii Sullivan i O’Hara, zatrudniającej siedmiu adwokatów. Wczytywał się we wnioski o upadłość i głądził o Caudle’ach i pieniądzach, które kiedyś mieli, i o tym, jak głupio doprowadzili do upadku gazetę, swego czasu nieźle prosperującą. Byli jego klientami od trzydziestu lat, a może dłużej. Kiedy wszystkim zarządzała pani Emma, „Times” miał pięć tysięcy prenumeratorów i strony pełne reklam. W depozycie w Security Bank trzymała na czarną godzinę pół miliona dolarów.

Potem umarł jej mąż, a ona wyszła za miejscowego alkoholika, młodszego od niej o dwadzieścia lat. Kiedy bywał trzeźwy, ten półanalfabeta uważał się za znękanego poetę i eseistę. Pani Emma bardzo go kochała i powierzyła mu stanowisko współredaktora, co wykorzystał do pisania długich wstępniaków chłoszczących wszystko, co istniało w okręgu Ford. To był początek końca. Spot nienawdził ojczyzna; uczucie to było zresztą odwzajemniane, a ich relacje osiągnęły apogeum w najbarwniejszej walce na pięści

w historii Clanton. Doszło do niej na chodniku naprzeciwko redakcji „Timesa”, na rynku, na oczach ogromnego zdumionego tłumu. Miejscowi uważali, że tamtego dnia mózg Spota, i tak nadwątlony, doznał dalszych uszkodzeń. Wkrótce Spot przestał pisać cokolwiek poza tymi przekłętymi nekrologami.

Ojczym uciekł z pieniędzmi, a pani Emma ze złamanym sercem stała się samotniczką.

– Kiedyś to była dobra gazeta – powiedział Sullivan. – Ale niech pan spojrzy na nią teraz. Niecałe tysiąc dwieście prenumerat, ogromne zadłużenie. Bankrut.

– Co postanowi sąd? – zapytałem.

– Postara się znaleźć kupca.

– Kupca?

– Tak, kogoś, kto zechce ją kupić. Okręg musi mieć gazetę.

Od razu pomyślałem o dwóch osobach: Nicku Dienerze i BeeBee. Rodzina Nicka dorobiła się majątku na lokalnym tygodniku. BeeBee miała mnóstwo kasy i tylko jednego ukochanego wnuka. Serce zaczęło mi walić jak młotem, bo wyczułem okazję.

Pan Sullivan przyglądał mi się uważnie i było oczywiste, że wie, jakie myśli chodzą mi po głowie.

– Da się ją kupić za psie pieniądze – dodał.

– Za ile? – zapytałem z ufnością dwudziestotrzyletniego nieopierzonego dziennikarza, którego babka była uparta jak osioł.

– Prawdopodobnie pięćdziesiąt tysięcy. Dwadzieścia pięć dla gazety, dwadzieścia pięć na działalność. Większość długu zostanie umorzona z powodu bankructwa, a potem renegocjowana z wierzycielami, których pomoc okaże się potrzebna. – Pochylił się do przodu, opierając łokcie na blacie biurka, a gęste siwe brwi poruszały się, jakby jego umysł pracował w nadgodzinach. – To może być prawdziwa

kopalnia złota, naprawdę.



BeeBee nigdy nie inwestowała w kopalnię złota, ale po trzech dniach łaszenia się i namawiania jej wyjechałem z Memphis z czekiem na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dałem go panu Sullivanowi, a on złożył pieniądze na koncie depozytowym i wystąpił do sądu z wnioskiem o sprzedaż gazety. Sędzia tak stary, że powinien leżeć obok pani Emmy Caudle, pokiwał głową i nabazgrał swoje nazwisko na postanowieniu, dzięki któremu stałem się nowym właścicielem „Ford County Timesa”.

Żeby uzyskać akceptację w okręgu Ford, trzeba co najmniej trzech pokoleń. Niezależnie od pieniędzy czy pochodzenia nikt nie może zamieszkać tam ot tak i liczyć na zaufanie. Nad każdym nowo przybyłym wisi ciemna chmura podejrzliwości i ja nie stanowiłem wyjątku. Ludzie są tam bardzo ciepli, uprzejmi i wspaniałomyślni, a ich przyjacielskie nastawienie graniczy ze wścibstwem. Idąc ulicą, kłaniają się wszystkim i ze wszystkimi rozmawiają. Pytają o zdrowie i zapraszają każdego do swojego kościoła. Śpieszą nieznajomym z pomocą.

Ale tak naprawdę, jeśli nie darzyli zaufaniem twojego dziadka, nie zaufają i tobie.

Kiedy rozeszła się wieść, że ja, młody obcy żółtodziób z Memphis, kupiłem gazetę za pięćdziesiąt, a może nawet za sto albo dwieście tysięcy dolarów, wśród członków lokalnej społeczności zawrzało od plotek. Margaret informowała mnie na bieżąco. Ponieważ nie miałem dziewczyny czy żony, istniała możliwość, że jestem homoseksualistą. Ponieważ poszedłem na uniwersytet w Syracuse, prawdopodobnie byłem komunistą. Albo, co gorsza, liberałem. Ponieważ pochodziłem z Memphis, musiałem mieć jakieś wywrotowe zapędy, szokujące dla mieszkańców okręgu Ford.

Niezależnie od wszystkiego przyznawali jednak po cichu, że teraz to ja kontroluję nekrologi. Stałem się kimś!

Nowy „Times” zadebiutował osiemnastego marca 1970 roku zaledwie trzy tygodnie po pojawieniu się karła z dokumentami. Gazeta była gruba prawie na dwa i pół centymetra i zawierała więcej zdjęć niż jakikolwiek lokalny tygodnik. Skauci, licealne drużyny koszykówki, towarzystwa ogródkowe, kluby książki, koła miłośników herbaty, grupy biblistów, softballowe drużyny seniorów, kluby obywatelskie. Dziesiątki zdjęć. A zmarli byli wysławiani jak nigdy przedtem. Nekrologi stały się krępująco długie. Jestem pewny, że Spot był dumny, ale nigdy się ze mną nie skontaktował.

Wiadomości dotyczyły błahych spraw i były optymistyczne. Żadnego wstępniaka. Ludzie uwielbiają czytać o przestępstwach, dlatego w lewym dolnym rogu pierwszej strony umieściłem dział pod nazwą *Notki kryminalne*. Szczęśliwym trafem tydzień wcześniej zwędzono dwa pick-upy, a ja rozdmuchałem tę kradzież do rozmiarów ograbienia Fort Knox.

Na środku pierwszej strony znalazło się zdjęcie przedstawiające nową ekipę: Margaret, Hardy’ego, Baggy’ego Suggsa, mnie, naszego fotografa Wileya Meeka, Daveya Bigmoutha Bassa i Melanie Dogan, uczennicy liceum zatrudnionej na godziny. Byłem dumny ze swojego personelu. Tyraliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dziesięć dni, a nasz pierwszy numer okazał się ogromnym sukcesem. Wydrukowaliśmy pięć tysięcy egzemplarzy i wszystkie sprzedaliśmy. Wysłałem BeeBee pudło z tygodnikiem i na niej zrobiło to najwięksi wrażenie.

Przez następny miesiąc nowy „Times” powoli nabierał kształtu, podczas gdy ja toczyłem wewnętrzne zmagania, jakim chciałbym go widzieć w przyszłości. W rolniczym Missisipi zmiany dokonują się w bólach, dlatego postanowiłem wprowadzać je stopniowo. Stary tygodnik

zbankrutował, ale też przez pięćdziesiąt lat prawie w ogóle się nie zmienił. Pisałem więcej wiadomości, sprzedawałem więcej miejsca pod ogłoszenia, zamieszczałem coraz więcej zdjęć najróżniejszych grup. I ciężko pracowałem nad nekrologami.

Zostawanie po godzinach nigdy mnie nie pociągało, ale ponieważ byłem właścicielem, zapomniałem o zegarze. Byłem za młody i zbyt zajęty, żeby się bać. Miałem dwadzieścia trzy lata. Dzięki uśmiechowi losu, wstrzeleniu się w odpowiedni czas i bogatej babce nagle stałem się właścicielem tygodnika. Jestem pewny, że gdybym się zawahał i rozważył sytuację, szukał rady bankierów i księgowych, to ktoś z nich przemówiłby mi do rozumu. Ale dwudziestotrzylatek nie zna strachu. Nie ma nic, więc niczym nie ryzykuje.

Oszacowałem, że zanim gazeta zacznie przynosić zyski, minie rok. Początkowo dochód rósł wolno. A potem została zamordowana Rhoda Kassellaw. Naturalne dla tego biznesu wydaje się zwiększenie nakładu po brutalnym przestępstwie, kiedy ludzie chcą poznać szczegóły. Tydzień przed jej śmiercią sprzedaliśmy dwa tysiące czterysta egzemplarzy, a tydzień po tej zbrodni prawie cztery tysiące.

Nie było to zwykłe morderstwo.



Hrabstwo Ford było spokojnym miejscem, zamieszkanym przez ludzi, którzy albo byli chrześcijanami, albo tak twierdzili. Bójki na pięści zdarzały się codziennie, ale bili się przeważnie przedstawiciele niższych klas, kręcący się przy budkach z piwem i podobnych przybytkach. Raz na miesiąc jakiś wieśniak strzelał do sąsiada albo na przykład do własnej żony, w każdym tygodniu w czarnych getach przynajmniej jedna osoba zostawała zadźgana nożem. Jednak następstwem takich wyskoków rzadko była śmierć.

Byłem właścicielem „Timesa” przez dziesięć lat, od 1970

do 1980 roku, i w tamtym czasie pisaliśmy o zaledwie kilku morderstwach popełnionych w okręgu. I żadne nie było tak brutalne, jak zamordowanie Rhody Kassellaw, żadnego nie dokonano z taką premedytacją. Trzydzieści lat później nadal nie ma dnia, żebym o nim nie myślał.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).